NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 1 maja 1915. Nr. 18.

Pokłosie wojenne w Królestwie Polskiem.



Dwór w Poskitowie, zburzony pociskiem 30½ centymetrowego moździerza austryackiego.

Treść numeru: Batalion uzupełniający Legionów polskich w Królestwie. — Na zajętym terenie. — Tragiczny zgon posła. — Szlakiem Legionów. — Odznaczenie lekarza. — Z teatru wojny.

O pomoc dla b. Legionistów.

Rodacy!

Dumą wzbierało serce polskie, widząc hojność, z jaką nasze społeczeństwo spieszyło na początku wojny z ofiarami na rzecz Legionów.

Ofiary te nie poszły na marne. Marzenia nasze ziściły się. Wojsko polskie pod polskiem dowództwem zdobyło laury na wszystkich polach, gdzie mu było dane, a względnie gdzie było zmuszone walczyć.

Naturalnym skutkiem ich bohaterskich czynów, ich wprost nadludzkich trudów i wysiłków wielka cyfra ofiar poległych, a jeszcze większa tych, którzy bądź skutkiem odniesionych ran, bądź przecierpianych chorób i znojów, niezdolni do służby w polu, pozbawieni domu rodzinnego lub łączności z nim, czekają pomocy od tego społeczeństwa, które przy wybuchu wojny tak szczodrobliwie pomogło mu spełnić najszczytniejsze zadanie Polaka żołnierza.

Zaciągnęliśmy wobec tych naszych bojowników dług, którego bezzwłoczne uiszczenie jest w obecnych warunkach naszym najświętszym obowiązkiem.

Swiadom tego obowiązku zawiązał się w Wiedniu z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego Naczelny Komitet Opieki nad byłymi Legionistami oraz wdowami i sierotami po poległych Legionistach, który po ukończeniu wojny przeobrazi się w trwałe stowarzyszenie na wzór Towarzystwa uczestników powstania z r. 1863. Komitet ten wziął sobie za zadanie otoczyć opieką moralną i materyalną tak tych byłych Legionistów, którzy wskutek swych świadczeń wojennych utracili na zawsze zdolność zarobkowania, jak i tych, którzy bądź z powyższego powodu, bądź też wskutek zajęcia znacznej części naszego kraju przez wroga, są tylko czasowo skazani na korzystanie z publicznej dobroczynności. — Zadanie to zamierza Komitet spełnić w pierwszej linii przez zakładanie tak we wolnej części naszego kraju, jak i poza jego granicami schronisk na wzór istniejących już dwóch we Wiedniu, w których znajdą byli Legioniści nie tylko przytułek, ale także i warunki do stworzenia sobie bytu bądź to przez ukończenie swoich studyów, bądź też przez wyuczenie się rzemiosła lub znalezienie innego zatrudnienia.

Znane nam są ciężkie warunki, w jakich żyje obecnie nasze społeczeństwo, znane nam te niezliczone szlachetne cele, na które ofiarność naszego społeczeństwa musi codziennie łożyć. Mimo tego, pomni jednak ważności naszego celu, zwracamy się z ufnością do całego społeczeństwa polskiego, do każdej polskiej Jednostki z gorącą prośbą o podanie nam pomocnej ręki do ulżenia niedoli naszych narodowych bohaterów.

Na zakończenie musimy jeszcze zwrócić uwagę społeczeństwu, że poruszona przez nas sprawa jest wprost piekąca, bo cyfra superarbitrowanych Legionistów, którymi należy się bezzwłocznie zająć, dochodzi już do 1000.

Składki na powyższy cel należy uiszczać albo na ręce upoważnionych przez Naczelny Komitet Opieki poborców tegoż Komitetu, zaopatrzonych w legitymacye oraz kwitaryusz przez Komitet wy-



Pokłosie wojenne w Królestwie Polskiem: Groby żołnierskie koło Poskitowa.





Pokłosie wojenne w Królestwie Polskiem:

Ulica w Nowem Brzesku.

Komisya sanitarna przy badaniu studni w Nowem Brzesku.



Pokłosie wojenne w Królestwie Polskiem: Zburzony folwark w Poskitowie.



Na zajętym terenie: Kościół parafialny koło Proszowic.

stawiony, albo też bezpośrednio na ręce Galicyjskiego Banku Krajowego, Wiedeń I., Dominikanerbastei 19, którego dyrektor, dr. Jan Steczkowski, przyjął obowiązki skarbnika Komitetu.

Równocześnie zwracamy się z prośbą do tych ludzi dobrej woli, którzyby zechcieli zająć się zbieraniem składek na powyższy cel, aby bezzwłocznie nam przysłali na ręce Komitetu pod jego tymczasowym adresem, Wiedeń I., Neuer Markt 3, dokładny swój adres, t. j. imię, nazwisko, swój stały zawód, tymczasowe miejsce pobytu, oraz okręg, w którym zamierzają zbierać składki, poczem Komitet po zbadaniu warunków prześle legitymacye i odpowiednią liczbę kwitaryuszy.

Wreszcie zwracamy się z prośbą do wszystkich komitetów prowincyonalnych, które już w powyższym kierunku rozpoczęły swoją działalność, aby w interesie sprawy, celem scentralizowania, ujednostajnienia i wzmożenia akcyi porozumiały się w jak najkrótszym czasie z podpisanym Komitetem.

Wiedeń, dnia 19. kwietnia 1915 r.

Za Komitet: *Dr. Leon Biliński*, prezes, *Dr. Ernest Habicht*, wiceprezes i delegat N. K. N., *Dr. Jerzy hr. Mycielski*, wiceprezes, *Zofia Germanowa*, sekretarka, *Dr. Jan Kanty Steczkowski*, skarbnik. *Zofia margrabina Csaky Pallavicini*, zast. sekretarki, *Ludwik Stachiewicz*, zast. skarbnika.



Na zajętym terenie: Motorówka inżyniera Bromowicza, kierownika regulacyi Wisły w Hebdowie.

Pokłosie wojenne w Królestwie Polskiem.

(Do illustracyi tytułowej).

Huragan wojenny, którędy tylko przejdzie, znaczy swoje ślady krwią i pożogą, a najbogatsze kraje zamienia w pustynię. We współczesnej wojnie, przy użyciu dalekonośnych dział i pocisków wybuchowych, przeżywają wszystkie okropności bitwy nietylko walczące armie, ale całe połacie kraju, znajdujące się w obrębie ognia.

W takiem położeniu znalazły się ziemie polskie, zwłaszcza Królestwo, które jest terenem zaciętych walk i wielkich bitew... Tam, gdzie już walki ustały, pozostało jednak ich smutne pokłosie: poprzecinana rowami, usiana krzyżami ziemia, spalone wsie, zburzone budynki, zbombardowane miasta.



Szlakiem Legionów: „Święcone“ pułku trzeciego nad granicą Rosyi.



Batalion uzupełniający Legionów polskich w Królestwie: Por. Stanisław Zaruski ze swym oddziałem kawaleryi.



Szlakiem Legionów: III. pułk w okopach.

Z tego pokłosia wojennego w Królestwie Polskiem dajemy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi. Na tytułowej widzimy dwór w Poskitowie, gdzie mieścił się sztab rosyjski, zburzony pociskiem $30^1/_2$ centymetrowego działa austryackiego. Na innych widzimy las w Poskitowie, usiany żołnierskimi mogiłami. Zamieszczamy również kilka zdjęć z Nowego Brzeska, miasteczka w powiecie miechowskim nad Wisłą, które w dniu 20 listopada 1914 roku przez cały dzień było bombardowane i dotkliwe poniosło szkody.

Nowe Brzesko, dziś małe miasteczko, z garncarstwa się utrzymujące, niegdyś miało czasy lepsze. Iwo Odrowąż, biskup krakowski, ufundował tutaj Norbertanów w XIII wieku i od tego czasu Brzesko zostało podniesione do godności miasta na prawie niemieckiem. Kwitły tu rzemiosła: szewstwo, garbarstwo, krawiectwo, kowalstwo i wiele innych. Cechy rzemieślnicze dotąd posiadają oryginały lub odpisy dawnych nadanych im przywilejów królewskich, których strzegą zazdrośnie, jako drogiej pamiątki minionej świetności.

Istnieje tam kościół parafialny pod wezwaniem WW. Świętych, dobrze utrzymany, o trzech nawach, wybudowany z kamienia i cegły przez Norbertanów w 1640 roku, pokonsekrowany przez Mikołaja Oborskiego, biskupa-sufragana krakowskiego, wzniesiony na miejscu pierwotnego z XIII wieku. Kościół ten o mało nie uległ zniszczeniu w czasie obecnej wojny. Cudem prawie ocalał w czasie całodziennego bombardowania.

Mieszkańców liczy Nowe Brzesko 2.000, z których 350 żydów. Biedny proletaryat powiększył się przez osiedlenie 50 rodzin ewakuowanych z nad Nidy. Brały one z początku zapomogę z komendy, ale po

świętach z niewiadomych przyczyn wstrzymano ją, a biedna ludność pozostała na opiece licho zaopatrzonego Komitetu. Zwłaszcza brak opału dał się we znaki wszystkim, i biednym i zamożniejszym,



Na zajętym terenie: Żydzi czyszczą gościniec Dankla pod Słomnikami.

czemu zaradził w części pomysł pana Artura Bromowicza, inżyniera przy regulacyi Wisły, ułatwiający panu Frankiewiczowi z Hebdowa częściowy dowóz drzewa i węgla, za co obydwaj zasłużyli na szczerą wdzięczność ogółu mieszkańców Nowego Brzeska.

Tragiczny zgon posła.

(Do illustracyi na str. 7).

Drogą na Petersburg i Berlin doszła nas z Lublina wiadomość o tragicznej śmierci ś. p. Józefa Nakoniecznego, posła do Dumy z Lubelskiego. Padł on ofiarą katastrofy automobilowej, w której zginął na miejscu.

S. p. Józef Nakonieczny był osobistością zgoła niezwykłą. Chłop, który nigdy do szkoły nie uczęszczał, zdobył wiedzę i stał się jednym z wybitniejszych działaczy w Królestwie Polskiem. Pochodził on z Garbowa w Lubelskiem. Rodzice jego nie posiadali nic. Czytać po polsku nauczyła go matka. Chował się przeważnie u stryja, po którym też później kawałek pola odziedziczył. O tych czasach sam potem opowiadał, że zdobywał wrodzonym mu sprytem zeszyty i książki, czytał, pisał.

Nieraz nie dopilnował krów w polu, nieraz noc przy łojówce przepędził.

A potem zajęły się nim władze rosyjskie, które od piętnastego roku jego życia bacznie śledziły każdy



Pokłosie wojenne w Królestwie Polskiem: Klasztor w Hebdowie. Wieża przedziurawiona granatem.

krok jego. Rewizya szła po rewizyi, więzienie za więzieniem. Siedział czternaście razy w więzieniu, spędził trzy lata na zesłaniu. Te prześladowania nie złamały jednak młodego chłopca. Na wygnaniu uczy się pilnie i zdaje egzamin na pomocnika inżyniera.

Gdy wreszcie klęski, zadane Rosyi przez oręż japoński, zmusiły rząd rosyjski do chwilowej zmiany



Na zajętym terenie: Roboty polne w okolicy Proszowic. W braku koni krowy zaprzężone do pługa.

kursu, gdy w manifeście październikowym Rosya otrzymała konstytucyę i Dumę, gdy już ujawnić część prac można było, Nakonieczny znalazł się w pierwszym szeregu jawnych działaczy. Wybrany posłem do I. Dumy, został nim i w III. i w IV. Dumie, mimo ograniczenia liczby posłów do jednej trzeciej.

Nakonieczny był mówcą z Bożej łaski i to mówcą w wielkim stylu. Już postawna, wspaniała jego postać i odgłos donośny a miły dobrze dlań usposabiały. Temperament, gest, potoczystość, a przytem treść zawsze ciekawa i poważna, porywały.

Poseł Nakonieczny znał Galicyę, znał jej życie polityczne i gospodarcze. Tam, razem z byłym posłem Bielawskim, organizował chłopskie wycieczki dla zwiedzenia gospodarstw w Galicyi i zawsze żywe stosunki z nami utrzymywać się starał.

Młody, zdrowy, silny, mógł wiele jeszcze zdziałać. Potrzebny był teraz zwłaszcza, gdy znaczna część Lubelszczyzny, zniszczona wojną, do odbudowy przystąpić musi. — Żal człowieka, żal działacza.



Z teatru wojny: Armata austryacka na pozycyi w Karpatach.

JÓZEF LASOŃ.

Z NIEWOLI.

(Ze wspomnień Legionisty).

X.

Kuglarz, figlarz, komik-artysta i żołnierz polski w jednej osobie — to Kuba. Przerozmaite sztuki na kwaterach pokazywał, które w podziw wprowadzały przypatrujących im się żołnierzy. Rzucanie czterema bagnetami i chwytanie ich za klingę — to zwykle początek przedstawienia oznaczało. Następnie sztuki z karabinem, rozmaite figle skaczącej czapki strzeleckiej, rozweselały żołnierzy. W zapasie zawsze posiadał sporo komicznych monologów, dekadenckich deklamacyi, dowcipów chudych i tłustych. Niech tylko rozdziawił komicznie swoją gębę — patrząc na nią — mimowoli człek śmiać się musiał, a cóż dopiero, gdy tylko „sypać" począł „kawały", od których boki pękały — jak mnie uroczyście zapewniał kucharz kompanijny, który był jego serdecznym przyjacielem.

W niedługim jakoś czasie do naszej kompanii został przydzielony, jako pomocnik kucharza, a to dzięki staraniom głównego kucharza, który Kubę chciał mieć przy sobie. Po załatwieniu wstępnych formalności, zgłosił się wreszcie do mnie z prośbą wystawienia legitymacyi wojskowej i stanu służby.

— Jak się nazywacie?

— Kuba!

— Aha! — przypomniałem sobie — to ten protegowany przez kucharza artysta-kuglarz. Kuba imię, a nazwisko?

— Ta, obywatelu. Ta to jest imię, ta to jest nazwisko, ta to jest pseudo.

— Nie rozumiem.

— Ta, ja proszę tylko samo moje pseudo napisać. Nazwiska mojego nikomu nie powiem. Ta, ja chcę umrzeć nieznany.

Popatrzyłem mu w twarz. Regularne rysy, prawie że błękitne oczy, sympatyczne robiły wrażenie. Usta cośkolwiek grymasem skrzywione, odcień jakby ironii lub zniechęcenia ukrywały.

— To jakaś tajemnica rodzinna — roześmiałem się — królewicz uciekł staremu królowi i boi się odkryć nazwisko.

— Ali nie. Ta postanowiłem sobie, aby nikt nie wiedział i nikt wiedzieć nie będzie. Jak jestem Kuba, tak się nikt nie dowie.

Kucharz podrapał się po głowie i, patrząc uśmiechnięty na Kubę, rzekł:

— Kuba zamierza wiele czynów walecznych spłodzić, jako rycerz Zawisza Czarny, nieznany, pełen trwogi i tajemniczy...

— Ta ci pieron do tego — odżarł się gniewnie Kuba — co ja będę płodzić, bylebym płodził, i czy Zawiszą będę czarnym, czy białym. Ta idź do cholery, a was proszę obywatelu o kartę wojskową.

Wystawiłem kartę z numerem porządkowym, przywaliłem pieczęć batalionu i wręczyłem Kubie. Podziękował, czapkę sprężyście przez nogę przerzucił pod sufit kwatery, a kiedy wpadła mu na nadstawioną głowę, równocześnie zasalutował. Zrobił to tak zręcznie i komicznie, żem uśmiał się z tego nie mało. Wykręcił się na piętach i z podniesioną głową wyszedł z kwatery. Dobiegł go kucharz, pogodzili się jednakże zaraz, gdyż ujęli się pod pachy i jak czuła para w stronę dymiącej kuchni podążyli.

Żołnierze, którzy znali już Kubę z poprzednich występów, przywitali go gromkimi okrzykami, ciesząc się, że kompania będzie miała swojego „hecownika", jak go niektórzy nazywali. Z miną Napoleona wkroczył do środka, wzrokiem Sherlocka Holmesa popatrzył po kotłach, zbadał uważnie gotującą się strawę, pomieszał chochlą, spróbował trochę rosołu wołowego, poczem patrząc wyniośle, cedząc słowo po słowie przez wpół zamknione usta, wydał wyrok:

— Rycerze, to jest świństwo, ja wam same marcypany gotować będę. Kucharz, to jest mój kolega, najpierw buty smalcem smaruje, a potem ziemniaki wam maści. Krzyknijcie mu po trzykroć „Hańba"!

— Ale nie — sprzeciwiły się głosy — nasz kucharz, to klawy obywatel, byczo daje jeść.

Kuba został pomocnikiem kucharza. Mir miał wielki, porządek przy wydzielaniu śniadań, obiadów trzymał ostro, w marszach i potyczkach zaś uciekał od kotłów, karabin w mocne łapy brał i szedł do „jatki po świninę" — jak sam mawiał. — W pierwszych dniach, gdy się dostał za kuchcika, posądzali go o brak odwagi i że dlatego do kotłów wlazł. Ale Kubuś, przy trenie będąc, nieraz o kilkanaście kilometrów od linii kotły nastawił, mięsa przygotował i gdy się „menaż" gotowała, nawdziewał widelec (bagnet) na karabin i do ognia szedł.

Figle i żarty nigdzie go nie opuszczały. „Mochom" niejednego figla wypłatał, wprowadzając ich w zdumienie. Umiał dobrze po rosyjsku, nieraz też nocą podpełzał pod okopy i namawiać ich począł do pójścia w niewolę. Brzuchomówcą był — zmienić głos potrafił, tak, że nieraz zdawało sie, że tam pół tuzina Kubów rozmawia z Moskalami. Nie podchodził jednakże za bardzo blizko do nieprzyjaciół, gdyż ci nieustannie razili kulami, gdy tylko kogoś spostrzegli. Ale Kuba umiał się dobrze urządzać. Jak wąż pełz ku nieprzyjaciołom, naturalnej zasłony szukał: krzaka gęstego, pagórka, odłamu skalnego. Znalazłszy, tubę tekturową z tornistra wyciągał i dalej grać... jak gramofon. Setny... gramofon. Żołnierze pękają ze śmiechu, ryczą jak bawoły, a Kubuś pod okopami Moskali leży i wygrywa: monologi, pieśni, dyalogi i t. p. rzeczy. W monologach nawołuje, aby się poddawali, to znów drwi z nich, beszta ich pół po polsku, pół po rosyjsku. Początkowo nie wiedzieli Moskale, co to ma znaczyć. Sądzili, że w okopach naszych jest gramofon, na którym wygrywamy rozmaite kawały. Ale się zasypał sam Kuba, klnąc ich pewnej nocy ordynarnemi słowami, które bezwarunkowo do gramofonu się nie nadawały.

— Wot... sukin...syn igrajet! — rozległy się głosy — Taż to trąbkę ma.

— Tak... tak... — przedrzeźniał im i począł w jeszcze ordynarniejszy sposób przez trąbkę wymyślać.

Sypnęli salwą strzałów, w stronę dochodzącego ich głosu, nasi wzajemnie pozdrowili ich kulami, póki Kuba nie przyczołgał się z nieocenioną trąbką gramofonową.

Nieraz w nocy cisza śmiertelna panuje, pozornie śpi wszystko, jak gdyby walka zupełnie już z tych okolic się wyniosła, a tu wśród ciszy słychać nagle głos gramofonu, grającego „Boże coś Polskę" lub „Jeszcze Polska nie zginęła". Potem wyjątek z opery „Żydówki", „Racheli", wkońcu „Oda do Moskali" — pełna humoru i dowcipu, wreszcie pożegnanie. Moskale nadsłuchują, poczynają krzyczeć:

— Sokołyk... sukinsyn... igrajet!...

A trąbka klnie im, wymyśla, tak, że wreszcie zgniewani zamilczają, posławszy parę tuzinów kul, jakby groszy kilka dla grajka za muzykę.

Manekina raz wypchał. Stary mundur wypenił słomą i szmatami, do rękawa przyczepił szmaty kawał białej, nocą wyciągnął go na pagórek, zagrał marsza powitalnego i do swoich wrócił. Moskale posłyszeli „sokołyka-grajka" dalej kulami prać w manekina. Wiatr poruszył białą przyczepioną szmatą, zaprzestali ognia i żywcem do niewoli chcieli wziąć grajka. Niestety... zabrali manekina, którego ze złości w strzępy potargali.

Kuba zaś wystawiwszy trąbkę z okopu przemówił:

— Sokołyky grajka macie? He? Tra... ta... ta... ta... Tra... ta...

Humor bajeczny miał. Przeskrobał nieraz coś, uszło mu płazem, bo wykręcić się umiał, zawsze znalazł jakąś okoliczność łagodzącą, nieraz jedno słowo ratowało go od „szpang" i innych kar żołnierskich. Dość było popatrzyć na jego skruszoną minę, aby z gniewu przejść do rozpogodzenia oblicza. Stawał do raportu batalionowego, z góry przepowiadano mu, że teraz, to już z pewnością najmniej „4 godziny szpangi" go czeka, on się tylko uśmiechnął, zapewniając, że „ta jemu nic nie będzie". Porucznik Dziekanowski, kompanijny jego, nieraz mu kładł do uszów, obiecywał srogo ukarać, jak jeszcze raz co zwojuje. On z pokorną miną słuchał, poczem zapewnił uroczyście, że to mu się po raz pierwszy i ostatni zarazem wydarzyło, że już nigdy nic nie uczyni... ta... chyba po śmierci! Naciągał strunę, aż wreszcie nie pomogła mu nawet i jego mina najuczciwiej skruszona, struna pękła, Kuba "szpangi zafasował".

Było to po odwrocie z Nadwórnej, w miasteczku D. Pod wieczór przymaszerowały bataliony, rozlokowano żołnierzy po kwaterach, zakazano surowo po godzinie szóstej być komukolwiek na mieście. Rozesłano patrole, rozstawiono placówki. Kompania Dziekanowskiego dostała kwaterę w stodole, w której zimno było, jak na Oceanie Lodowatym. Deszcz ze śniegiem przez otwory w dachu wpadał do środka, na twarze żołnierzy, którzy wkopani w siano, głowy jeno wystawili z siana, aby się nie podusić. Kuba w kącie obrał legowisko, z butami wkopał się w siano i dalej rozweselać zmarzniętych żołnierzy. Chwalił swoje miejsce, że ciepłe i nic nie pada mu na łeb. Ale niedługo to trwało. Zerwał się po chwili, wyklinając, narzekać począł, że po ścianach stodoły masa wody spływa i podlewa go, a on nie ryba, ani żaba, aby spał w wodzie. Współczujące głosy poczęły go namawiać, aby się do nich przeniósł, ale on dziękując, odmówił, twierdząc, że królewskie będzie miał spanie.

— Gdzie, tu w stodole? — ciekawie spytali.

— Ta skąd w stodole? — odparł wyniośle — ta, czy ja jestem osioł, albo krowa, albo koń, abym w stodole spał? W mieszkaniu, w ciepłym pokoju, pod pierzynką, takie królewskie będę miał spanie.

— Tylko nie dziś!

— Właśnie, że dziś. Zaraz idę w miasteczku poszukać.

— Nie wolno. Zresztą warty chodzą, aresztują zaraz, będziesz miał spanie w szopie jakiej pustej, jak cię złapią.

— Ta kogo, mnie?

— Ciebie!

— Ta, ja jestem kucharz, to do mnie się rozkaz dzisiejszy nie tyczy. Idę, powiem, kuchnię na rano przygotować i basta.

Chyłkiem wyszedł z kwatery, w stronę miasteczka podążył. Pozostali, jedni z radością patrzyli na Kubę, drudzy zaś z politowaniem, że z pewnością zamknięty zostanie. Ale Kubuś pogwizdując, nie zważał na nic. On nie żaba, nie ryba, w wodzie spać nie będzie i basta.

W pół do siódmej wieczór tegoż dnia, w pokoju kwaterowym porucznika Dziekanowskiego, zarazem inspekcyjnym oficerskim, przedkładałem rachunki kompanijne por. Dziekanowskiemu, kiedy warta przyprowadziła jakiegoś aresztanta. Kompanijny kazał go do pokoju wprowadzić poczem sekcyjny Zjadacz zaraportował, że spotkał i aresztował żołnierza tego na mieście, według rozkazu danego wieczór. Kuba, wyprężony jak struna, w wyczekującej postawie stanął przy drzwiach, patrząc raz na mnie, drugi na Dziekanowskiego.

— Co z wami znowu jest? — ostro spytał Dziekanowski.

— Ta ja chciałem się z narzeczoną pożegnać, bo ja czuję, że jutro umrę.

Powiedział to takim tonem, że wargi przygryzłem do krwi, aby się nie roześmiać.

— Tu macie narzeczoną? Jak śmiecie cyganić w tak bezczelny sposób. Rozkazu nie czytano wam?

— Ta... ja... chciałem...

— Milczeć! Cztery godziny szpangi, areszt do rana. Jutro do zbadania lekarskiego, ewentualnie do domu waryatów was każę odstawić! Odprowadzić!

— Obywatelu poruczniku! — nieśmiało wtrącił.

— Co jest?

— Ta... ja wszystko odcierpię, tylko proszę się na mnie nie gniewać, gdyż ja obywatela porucznika bardzo kocham...

— Odprowadzić!

Tak więc Kubuś szpangi dostał. Zmartwiło go to srodze. Zaraz rano do mnie przybiegł z prośbą, abym go od tego domu waryatów ratował i od gniewu porucznika.

— Ta obywatelu, ja wiem, że wy mi to zrobicie. Ja sam nie wiem, czemu obywatel Dziekanowski gniewa się na mnie, kiedy ja go tak kocham.

— Jeszcze się śmiecie pytać? Ciągle na was skargi, więc musi być do was uprzedzony. A w takim wypadku, to ani wasze kochanie nie pomoże!

— A czy on może mnie na prawdę zamknąć do domu waryatów?

— No tak... Zda raport batalionowemu, pomówi z lekarzem... i już po was — nastraszyłem go.

— Ta ja się poprawię — odrzekł, skrobiąc się po głowie i zmartwiony udał się do kuchni.

Od tego czasu, rzec można, nie stanął już do raportu. Figle po dawnemu płatał, jednak służby pilnował, nie opierał się rozkazom. Brzuchomówstwo pielęgnował, mówiąc, że najprzyjemniejsza dla niego rzecz, to przez tę trąbę wymyślać Moskalom i marsze żołnierzom wygrywać. Zwali go przeto Kuba, herbu trąba, artysta-brzuchomówca. W dniach trudów i chłodu wielu żołnierzy rozweselił, bądź to opowiadaniem, bądź też ucieszną swoją miną. Bo kompania, każdy nawet pluton, to jakby jedna jakaś wielka rodzina, lub stowarzyszenie, gdzie oprócz trosk, zmartwień, niepowodzeń — wesołości i szczęścia czasem chwila. Człowiek, stając się żołnierzem, przestał myśleć o dniu wczorajszym i przyszłym, żył tylko chwilą obecną i tem, co ona dawała. — Rano z przyjacielem ze wspólnej menażki jadło się śniadanie — wieczór przyjacielowi grób trzeba było kopać. Rzekłbyś, jak kwiaty zrywane w ogrodach, tak śmierć zrywała z szeregu przyjaciół-żołnierzy. Nie myślano jednak o tem, każdy miał tę pewność, że wróci. Nikt w głębi ducha, choć inaczej mówił, nie myślał o śmierci. Padł który, już ci mu koledzy jamę wykopali, w koc ciało zawinęli, jeśli miejsce

i czas był ku temu. Salwa gruchła, Kuba na trąbie marsza żałobnego Chopina zagrał... i parada skończona. Tylko gdy się kogo polubiło, tęsknoć było za nim. Ot, wspominali, wczoraj na kwaterze z nami był, jeszcześ mi papierosa dał, jeszcześ list do rodziny pisał, a dziś już tam leży, robactwo go toczy. O takim wiedziano, że zabity, ale dużo nieraz brakło żołnierza, nie wiedzieć, czy padli, czy do niewoli się dostali, czy ranni są. Czasami powracali zaginieni, dziwne opowiadając przygody. Jedni podczas ataku z osłabienia padli omdleni, poczem znaleźli ich saniteci i do przytomności powrócili, drudzy, odłączywszy się od oddziału, błądzili, póki na właściwy ślad nie natrafili.

. . . .

Z końcem października ubiegłego roku przyszło do wielkiej bitwy pod Mołotkowem i Hnizdem. — Lewe skrzydło zajął pułk drugi, na prawem zaś stanął pułk trzeci, dochodząc do drogi, wiodącej z Bohorodczan do Nadwórny. Długość całego frontu mogła być mniej więcej 20 do 23 kilometrów. — Moskale poczęli ściągać znaczne rezerwy, które nieustannie czynić poczęły wysiłki o zdobycie naszej pozycyi. Artylerya rosyjska usadowiła się na górze Werpil i nieustannym ogniem poczęła nas prażyć. To też Legiony cofnąć się musiały, ustąpić wobec ogromnych sił moskiewskich.

Ciemną noc rozdarły płomienie palących się zakładów naftowych w Mołotkowie, które, paląc się, oświetliły okolicę. W milczeniu, w nerwowem naprężeniu maszerowały kompanie za kompaniami. — Tren, zbliżając się do rzeki Bystrzycy, o mało że nie wpadł w ręce Moskali, którzy usadowiwszy się na moście drewnianym, usiłowali przy pomocy tamtejszej ludności poprzecinać drewniane filary mostu i tym sposobem dobrać się do trenu.

Docierał właśnie tren do mostu. Z daleka słychać było stuk siekier, które z wysiłkiem pracowały. Kuba, siedząc na wozie, gdyż skaleczoną miał nogę, pierwszy zwrócił uwagę komendantowi trenu na ten podejrzany stuk. Ale uprzedziła już ich patrol z kompanii śląskiej, która dotarłszy do mostu, dała kilkakrotnie salwę karabinową w stronę podejrzanego łoskotu, a następnie szybko przebiegła przez most, aby zbadać, ewentualnie przeszkodzić podminowaniu mostu.

Na odgłos salwy zeskoczył Kuba z wozu, odtrącił wstrzymującego go kucharza i kulejąc podążył w stronę mostu. Od tej chwili słuch zaginął po Kubie. Zrozpaczony kucharz nagrodę obiecał za znalezienie żywego lub umarłego, lub też jakichkolwiek śladów. Ale Kuba „wsiąkł“ na dobre.

Smutno się zrobiło w kompanii, najbardziej jednak rozpaczał kucharz, który obiecał usmażyć trzy ozory wołowe temu, kto mu o Kubie cośkolwiek doniesie. Już i pomocnika nowego przyjął do kuchni, ustawicznie mu grymasząc i twierdząc przytem, że takiego genialnego pomocnika, jak Kuba, nigdy mieć nie będzie.

— Zginął nasz gramofon Kuba — smutnie mówili — teraz ci mu psy marsza grają i kruki dziobią.

Dzień, dwa, trzy wspominano, wreszcie i Kuba zeszedł z repertuaru kompanii. Orzekli jednogłośnie, że Kuba koziołka machnął na tamten świat, lub też zabłąkany dostał się do niewoli. Jednakże kucharz ustawicznie twierdził, że on żyje, jest, tylko „zapodział“ się gdzieś, ale wkońcu do kompanii wróci i koncerty po dawnemu dawać będzie. Twierdził to stanowczym głosem, choć nieraz udowadniali, że już po Kubie.

* * *

Po zajęciu Zielonej cofnął się III. pułk na wypoczynek do Rafajłowej. Ciężka wówczas służba przypadła II. pułkowi, który okopał się pod Zieloną i stamtąd odpierał ataki Moskali.

Żołnierz, postawiony na placówce, nieraz przez dziesięć godzin służbę pełnić musiał, wśród zimna przenikliwego. Jednak pomimo tego, służbę pełnił wzorowo, bacznie czuwając, czy niespodzianki jakiej nie gotują Moskale.

Sekcyjny Zjadacz rozprowadzał właśnie placówkę, gdy nagle jeden z żołnierzy zwrócił mu uwagę na drogę, wiodącą z Pasiecznej do Zielonej. Drogą szła jakaś otulona kobieta, machając z daleka olbrzymim kawałem białego płótna, który, jak sztandar wiatrem kołysany wyglądał. Już ci ją na cel wziął obywatel Sikora, stalowym głosem krzycząc:

— Stój, kto idzie?

Dosłyszała to idąca kobieta i stanąwszy, poczęła jeszcze bardziej machać białą chustką, krzycząc:

— Ta, Sikora! Ta do cholery nie strzelaj! Ta ja jestem, ja!

— Kto? — spytał tenże ostro.

— Ta ja! Kuba!

Rzeczywiście był to Kuba. Tylko miast munduru strzeleckiego, suknie kobiece miał na sobie, a miast karabina kobiałkę z węglami i... trąbkę tekturową, którą miętosił pod pachą. Twarz miał staranie uszminkowaną, tak, że przygoliwszy się nieco, przedstawiał całkiem idealny obraz starej babki. Z tryumfem poprowadzono go do kwatery. Smiechu było nie mało, kiedy poznano w starej babce Gramofona-Kubę. Doleciał doń kucharz, rzucając chochlą o ziemię, na szyję przyjaciela się rzucił. Ale ten delikatnie go odsunął, tłumacząc:

— Ta, do cholery, daj pokój, bo se gębę powalasz.

— Bo cóżeś się tak uczernił!

— Jakto poco? Ta, byłem w niewoli, i aby mózd uciekać, musiałem się przebrać, a taj ucharakteryzowałem się na babkę — dodał z figlarnym uśmiechem — bom się obawiał, aby mnie kozacy nie skrzywdzili. Ta, popatrzcie na mnie. Ta, cała dziewucha ze mnie w tem przebraniu. A jak bym był wpadł w „oko“ jakiemu Moskalowi, ta by się był zabrał do mnie, i co by było? Dyndałbym jako szpieg, trzepał kopytami na suchej gałęzi. Tak musiałem grać rolę babki.

— Gdzie, jak, co? — ciekawie poczęli dopytywać.

Ale kucharz ujął Kubę pod pachę i do kuchni odprowadził. Nasycił mu żołądek, poczem Kuba przy ognisku leżąc rozpoczął opowiadanie o swym losie.

— Ta, wiecie, tak było! Tam przy tym mostku przy Bystrzycy patrol z kompanii śląskiej dała salwę do Moskali, a potem przez mostek żywo przebiegła. Ta, ja tak z ciekawości pobiegłem za nimi, choć mi noga bardzo dokuczała. Nasi ubili kilku i wzięli paru chłopów, pomagającym Moskalom w uszkodzeniu mostu, do niewoli, a ja zapuściłem się w wieś, sądząc, że tren będzie przejeżdżał tą drogą, to się połączę. Tymczasem — myślę sobie — wstąpię do chaty i opatrzę nogę. Do pierwszej napotkanej wstąpiłem chaty, właściwie muszę się przyznać, że raczej wśliznąłem się, bo mnie nie chcieli do środka wpuścić. Podważyłem drzwi i zaświeciwszy świecę, zbudziłem gospodarza, aby mi dał kawał czystej szmaty. Z niechęcią wprawdzie wstał, podał żądaną szmatę, zdjąłem buty, opatrzyłem ranę. Ciepło, rozchodzące się od kominka, znużyło mnie jeszcze bardziej, tak, że sam nie wiem, kiedy zasnąłem. Spałem twardo, nadzwyczaj twardo, bo dopiero silne uderzenie kolbą w bok zdołało mnie przebudzić. Zerwałem się na pół przytomny, patrzę, ta, co jest? Kupa kozuniów w izbie, jeden z nich karabin mój ciekawie ogląda, drugi buty moje przymierza, trzeci przeszukuje mi tornister. Ta, co miałem robić. W milczeniu, wściekły na siebie, że wpadłem w taką łapkę, kulejąc musiałem z patrolą do Pasiecznej przymaszerować. Poczęli naigrawać się ze mnie początkowo, wkońcu mnie to rozzłościło, i wiecie, co im zrobiłem?

— No co? Ciekawiśmy!

— Ta nic. Wyciągnąłem trąbkę tekturzaną, którą miałem złożoną w kieszeni i niespodziewanie zatrąbiłem na niej. Podleciał jeden z nich, wydarł mi z ust tubę, a któryś z konwojujących zauważył:

— Toż to sokołyk-grajek.

— Ta mi wszystko jedno było — ciągnął dalej Kuba — Przez całą drogę brzuchem pracowałem, rozmaite wydobywając głosy. Myślałem, że pęknę ze śmiechu, kiedy mnie w Pasiecznej rewidowali, szukając „maszynki co gada“. Nie mogę narzekać, aby źle obchodzili się ze mną. Po formalnościach raportowych, odprowadzono mnie do chaty opustoszałej, która miała służyć dla mnie za tymczasową kwaterę.

W izbie usadowili się Moskale, a mnie i dwóch jeszcze żołnierzy węgierskich, jako jeńców, umieścili na strychu. Nieduży to był strych, z małymi otworami, przez które można było widzieć, co się wokół chaty dzieje. Moi współkoledzy, Węgrzy, pomamrotali ze sobą po węgiersku, wkońcu położyli się spać na słomie. Usiadłem w kącie, przemyśliwując, coby tu teraz wypadało zrobić. Uciekać! Tak, ale jak? Wspomniałem o kompanii, ta mówię wam do cholery, żal mi się zrobiło za wami. Myślę sobie, że ja mam gnić tutaj w niewoli, albo tam gdzieś na Sybirze, e, to wolę zaryzykować. Byłem zdecydowany uciec w ubraniu strzeleckiem, to jest wyłamać w dachu chałupy dziurę i sunąć do kompanii, jak się tylko nadarzy sposobność. Macając po strychu, natrafiłem na suknie kobiece. Wpadła mi zaraz szczęśliwa myśl do głowy. Plan zaraz miałem gotowy. Ubrałem się w nie natychmiast, sadzami buzię umalowałem, a dziurę zrobić w dachu, to parę minut mnie kosztowało. Wychyliłem łeb z dachu, Moskalisko, jak smok wielki, łazi koło chałupy i pilnuje. Zaczekałem, póki na rogu chałupy nie zniknął, a potem hyc na dół. Ta... bez szelestu... ta, ja umiem tak skakać — podskakując, aby zademonstrować opowiadanie, ciągnął dalej — idę śmiało przygarbiony, kulejąc, zobaczył mnie jednak wartujący żołnierz, zatrzymał, podejrzliwie indagować począł, skąd jestem, skąd idę i dokąd, co tu robię. Naśladując głos starej babci, rozpaczliwie począłem opowiadać, że to chata mojej córki, że chciałam w niej przenocować, ale jej nie zastałam, bo tam wojsko jest, że idę do domu do Zielonej.

— Ta czto, tam przepustkę trzeba — objaśnił — tam sokołyky są.

Ucieszyłem się niezmiernie, że niedługa mnie czeka droga i żem dowiedział się, gdzie się nasi znajdują. Polecił mi udać się do komendanta o przepustkę.

— Całe szczęście — odezwał się rubasznie kucharz, klepiąc Kubę po policzkach — żeś się sadzami usmolił, Moskale stracili apetyt, inaczej byłby cię sromotny los spotkał... ha... ha... ha..., ale marsza nam zagraj powitalnego, bośmy go już długi czas nie słyszeli.

— Zaraz! Jeszcze parę słów dorzucę do poprzednich.

— Owszem, owszem — Zjadacz się odezwał — może i z nas który dostanie się do niewoli, toż te twoje cenne uwagi i rady praktyczne mogą się przydać!

Podparłszy boki rękami, kończył opowiadanie:

— Znalazłem kobiałkę, naładowałem ją węglami i sunę śmiało z Pasiecznej. Co parę kroków zatrzymują mnie żołnierze, pytając o przepustkę. Pokazując węgle, opowiadałem, że roznoszę je po wsi, a obecnie dążę do chaty. Wykręcałem się, jak mogłem, i o mało, żem się nie wsypał. Z patrolami udawało mi się znakomicie, tylko stojący na placówce zatrzymując mnie oświadczył, że muszę mieć przepustkę od komendanta. Co miałem robić. Udałem, że wracam, a równocześnie przez cmentarzysko prześlizgnąłem się poza linię placówek moskiewskich. Tylem się nastarał, aby się do swoich dostać, dochodzę, a ta szelma Sikora bierze mnie na cel, wołając: kto idzie! Ta i kto! Ta ja, Kuba, ta wyście myśleli, że już ziemię gryzę, a ja zdrów i cały... he... he... he...

— Udało ci się uciec! — Zjadacz mu przerwał.

— Ta się musiało udać! Od czego głowa na karku.

Za chwilę Kuba przebrany już w mundur Legionisty, śmiejąc się, karabinem sztuki pokazywał, poczem wyprostowawszy zgniecioną tubę papierową, zagrał marsza i wygłosił na prędce utworzoną deklamacyę. Weselej się zrobiło w kompanii. Niedługo jednak pozostał w kompanii, gdyż w parę dni potem w ataku pod Pasieczną, ugodzony odłamkiem szrapnelowym, zemdlony padł na pobojowisku. Znaleźli go saniteci dychającego jeszcze. Przyniesiono go do lazaretu, opatrzono starannie ranę. Kiedy przyszedł do przytomności, przemówił do stojącego obok kucharza:

— He... ta już kitę odwalam... ta i kto będzie wam grał na trąbce?

Jednak nie odwalił „kity“. Przewieziony do szpitala w Budapeszcie, wylizał się z ran i powrócił po dłuższej nieobecności do służby, lecz do pułku pierwszego, mówiąc, że mu na Węgrzech powietrze nie służy i pech go prześladuje. Jak nie niewola, to rana — śmiejąc się mówił — a ja chcę, albo cały i zdrowy być, albo paść na miejscu.

Kuba gramofon — orkiestra pułku drugiego przeniosła się do pierwszego.



Tragiczny zgon posła: S. p. Józef Nakonieczny, poseł do Dumy z ziemi Lubelskiej



Batalion uzupełniający Legionów polskich w Królestwie. Por. Kordyan Zamorski na czele kompanii.

Batalion uzupełniający Legionów polskich w Królestwie.

Batalion uzupełniający Legionów polskich jest instytucyą, w której ochotnik nowozaciężny pod kierunkiem doświadczonych oficerów i podoficerów przeobraża się w ciągu kilku tygodni w żołnierza i odchodzi na plac boju. Ale żeby rekruta wyćwiczyć, wyekwipować i poprowadzić do boju, trzeba go przedtem mieć, trzeba zwerbować. To też zakres prac batalionu jest większy, aniżeli podobnych instytucyi c. i k. armii, zadanie jego ważniejsze i trudniejsze, stanowisko komendanta bardzo odpowiedzialne. Na stanowisku tem trwa od początku kapitan Andrzej Galica. Adjutantem jego jest Hubert Brzozowski, syn sławnej pamięci rycerza-poety Karola, brat poety Wincentego, z zawodu artysta dramatyczny. Jest tu również znakomity artysta i dzielny żołnierz pierwszego pułku p. Antoni Siemaszko z synem (drugi syn jest w kawaleryi Belliny) i koledzy jego z krakowskiej sceny panowie Ruszkowski i Relidzyński.

Ochotników, dostarczonych przez oddział werbunkowy posła Klemensiewicza, bada przed zaprzysiężeniem lekarz batalionu dr. Emil Bobrowski lub jego zastępca dr. Wertheim. Komendant intendantury Fórtkiewicz ubiera ich, poczem odchodzą do kompanii pod komendą por. Zamorskiego lub Marszałka i otrzymują broń w zbrojowni batalionu. Zdolniejsi i wyróżniający się dobrem sprawowaniem mogą po pewnym czasie przejść do szkoły podoficerskiej pod kierunkiem podpor. Modelskiego. Przestępcy zaś — choć takich prawie niema — dostają się w ręce sędziego wojskowego, posła dr. Liebermanna, któremu długoletnia chlubna praktyka adwokacka ułatwia dziś sprawiedliwy i ludzki wymiar kar, w czem pomaga mu znany działacz śląski dr. Jarosz. Z ich stanowiskiem związane są bądź co bądź liczne przykrości. To też lepszą cząstkę obrał sobie p. Pełdyak, popularny pod pseudonimem „Gruby“ komendant prowiantowy i karmiciel batalionu.

Wśród oficerów batalionu znajdują się porucznicy pierwszego pułku Czesław Jarnuszkiewicz i Kordyan Zamorski. Obaj artyści malarze, należą do najstarszych oficerów „Związku strzeleckiego“ i pomocników Piłsudzkiego w organizacyi zawiązku armii polskiej. Obaj zdobyli sobie największą nagrodę za trudy i poświęcenie, bo miłość i bezgraniczne zaufanie żoł-



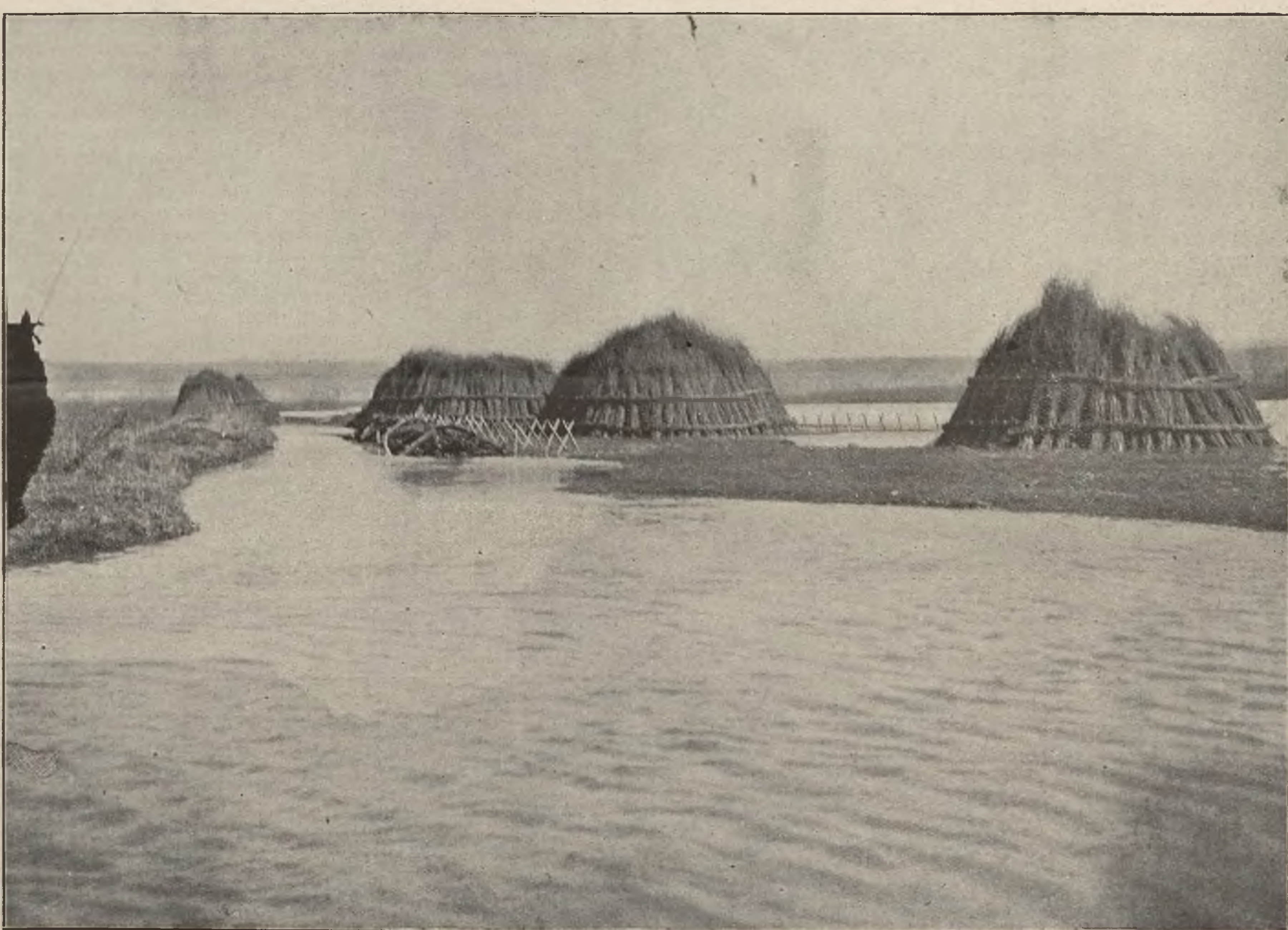
Batalion uzupełniający Legionów polskich w Królestwie: Przegląd batalionu



Na zajętym terenie: Placówki austryackie przy klasztorze w Hebdowie nad Wisłą.



Na zajętym terenie: Wojska austryackie zabezpieczają brzeg Wisły w okolicach Hebdowa.



Na zajętym terenie: Ubezpieczenia faszynowe podczas wylewu Wisły pod Hebdowem.



Na zajętym terenie: Nowowybudowana tama po stronie rosyjskiej przez wojsko austryackie.



Batalion uzupełniający Legionów polskich w Królestwie: Legioniści na rynku w Radomsku.

nierzy, pierwszy pod Ksanami i Budami Michałowskiemi, drugi pod Korczynem, obaj zresztą w czasie całej swojej wojskowej działalności.

Na zajętym terenie.

Sprzymierzeni, po zajęciu części Królestwa Polskiego, podzielili się w ten sposób zdobytemi terytoryami, iż Niemcy wzięli pod swój zarząd cały pas leżący wzdłuż ich granicy wraz z Będzinem, Częstochową i Łodzią. Austryi dostała się część wschodnia, sięgająca na razie aż do pierwszych linii wojsk nieprzyjacielskich, więc z tej strony ściśle jeszcze nie uregulowana. Wyjątek uczyniono z klasztoru Jasnogórskiego, który aczkolwiek leży na terenie znajdującym się w ręku niemieckiem, wyłączony został i oddany pod zarząd komendzie wojsk austryackich.

Główną siedzibą władz austro węgierskich jest Piotrków. Zarząd spoczywa w ręku komendanta siły zbrojnej, któremu dodano do boku cały szereg urzędników różnych kategoryi, mających za zadanie wprowadzenie w życie prowizorycznej administracyi na okupowanym terenie.

Z zadania swego wywiązują się bardzo dzielnie, główny nacisk kładąc na ulżenie nędzy, jaka panuje wśród miejscowej ludności. Rozpoczęto też na wielką skalę akcyę w tym kierunku. Na rękę idą nowym rządom i komitety obywatelskie, jakie potworzyły się w różnych miejscowościach bezpośrednio po ustąpieniu władz rosyjskich. Ponadto nie spoczywa Poznańskie i Galicya, która, aczkolwiek ucierpiała sama wiele skutkiem wojny, nie zapomina o swych nieszczęśliwych braciach z poza kordonu.

Z chwilą, gdy padły słupy graniczne, nawiązaliśmy też serdeczne stosunki z tymi, co, choć tak sercu blizcy, byli dotąd tak od nas oddaleni i widzimy, że odporność narodu polskiego w tej dzielnicy jest wprost zadziwiającą. Duch narodu żyje, nie zdołała go zabić tyloletnia niewola!

Zaraz w pierwszych chwilach obecnej wojny światowej zorganizowano na prędce pracę obywatelską w okręgach, opuszczonych przez Rosyan. Nie stracono wiary w przyszłość, ani energii, nie dano się też wziąć na lep złudnym obietnicom, które nigdy nie miały być spełnione.

Wiara w własne siły wystąpiła w całej pełni i zadziwiła tych, którzy dotąd z życiem Królestwa zaznajomieni byli tylko powierzchownie i dorywczo. Dla tych jednak, którzy zajmowali się tamtejszymi stosunkami i mieli sposobność poznać je dokładnie, był to tylko naturalny wynik pracy, prowadzonej wprawdzie w cichości, lecz energicznie, z przezwyciężeniem przeszkód, o jakich my, żyjący w kraju konstytucyjnym, nawet pojęcia nie mamy. Delegaci poznańscy i galicyjscy, którzy zwiedzali te okolice, przekonali się naocznie, ile siły odpornej i krzepkości okazuje społeczeństwo tej dzielnicy, która nareszcie odetchnęła, nie czując nad sobą moskiewskiego knuta i teraz może rozwijać się zupełnie normalnie.



Batalion uzupełniający Legionów polskich w Królestwie: Zbrojownia. (X) Por. Kordyan Zamorski.

Stosunki dawniejsze między Galicyą, Wielkopolską, a Królestwem, aczkolwiek na oko serdeczne, nie były przecież takimi, jakimi być powinny. Żadna ze stron nie umiała nieraz oprzeć się pokusie krytyki, często nieuzasadnionej. Nie odczuwano u nas tych represyi, jakie rząd rosyjski stosował wobec ludności polskiej na terenie Królestwa i ogromu pracy organizacyjnej, jaką musiano podejmować w ciasnocie swej niewoli. Nie zdawano sobie także dokładnej sprawy z wyrobienia, jakie tamtejsze społeczeństwo zdołało osiągnąć, mimo, że wszystko sprzysięgało się na to, aby rozwój nasz niweczyć, a wszelkie usiłowania paraliżować w zarodku.

Losem ludności polskiej Królestwa, która najbardziej skutkiem wojny ucierpiała, zajął się energicznie Komitet poznański, który wysłał tam trzy komisye, mające zbadać na miejscu dokładnie stosunki, zarządzić, co uznają za stosowne i złożyć potem sprawozdanie ze swych spostrzeżeń.

Uczestnicy wyprawy uzyskali potrzebne legitymacye, uprzedzono też władze niemieckie w zajętej części Królestwa o ich przybyciu i polecono poczynić wszelkie możliwe udogodnienia i ułatwienia.

Celem podróży było przedewszystkiem zasięgnięcie informacyi o rzeczywistym stanie nędzy, wejście w kontakt z ludnością, konferencye z władzami dla wyjednania poparcia i zakupno środków żywności oraz translokowanie ich do nawiedzonych najbardziej nędzą miejscowości.

Robi się więc, ile się da, dużo przecież czasu upłynie, nim zagoją się te rany, jakie zwłaszcza nam zadała obecna wojna. Pracować musimy wszyscy, każdy w swym zakresie i to tem pilniej i energi-



Z teatru wojny: Grupa oficerów tureckich.



Na zajętym terenie: Posterunek austryacki w wykopanej w ziemi jamie. (X) Inżynier Artur Bromowicz z Krakowa, kierownik regulacyi Wisły pod Hebdowem.



Na zajętym terenie: Wojska austryackie i niemieckie na kwaterze w Królestwie Polskiem.

czniej, iż na obcą pomoc oglądać się nie możemy, a jeśli kiedy, to właśnie teraz nadarza się sposobność do okazania w całej pełni swych sił żywotnych i przekonania świata, że, choć rozdzieleni, jesteśmy przecież jednością silni, bo jednym i tym samym owiani duchem!

W dzisiejszym numerze dajemy szereg illustracyi z okolic Hebdowa, zajętego przez wojska austryackie. Hebdów leży o kilometr drogi od Nowego Brzeska, tuż nad samą Wisłą. Zdala widnieje biały o dwóch wieżach kościół, do którego się przytuliły z jednego końca budynki dzierżawcy Hebdowa, a z drugiego mieszkanie tamtejszego plebana. Jest to wspaniała pamiątka budownictwa po Norbertanach, którzy tutaj przenieśli swoje opactwo z Brzeska w XVI. wieku. Jednym z opatów hebdowskich był Karol Wyrwicz, ex-jezuita, znakomity pedagog, historyk i geograf, zmarły w Warszawie 1793 r.

Dzisiaj kościół poklasztorny w Hebdowie zamieniono na parafialny, wzamian kościoła w Starem Brzesku, który z powodu dezolacyi musiał być przed 50 laty rozebrany. Zaledwie zabiegami proboszcza miejscowego, księdza Józefa Darmasa i kosztem parafian został do stanu pierwotnego doprowadzony, gdy wybuchła wojna, w czasie której kościół hebdowski bardzo ucierpiał. Wieże rozbite, sklepienie przedziurawione, dach i wiązanie w połowie strzaskane.

Odznaczenie lekarza.

W niedzielę dnia 17 kwietnia b. r. odbyła się w trzecim szpitalu fortecznym w Krakowie na obszernym dziedzińcu zakładu Helclów cicha, ale zarazem piękna uroczystość wojskowa: Starszy lekarz sztabowy dr. J. Unger, komendant szpitala, przypiął uroczyście p. dr. Kazimierzowi Krzysztoniowi, lekarzowi z Krakowa, order *Signum laudis* wobec zgromadzonego personalu szpitalnego.

Po odegraniu na fisharmonii hymnu państwowego przemówił komendant szpitala, podnosząc chwalebne i pełne poświęcenia usługi w obliczu nieprzyjaciela, dokonane przez dra Krzysztonia, który mimo odniesionej rany służy w dalszym ciągu dobrej sprawie, niosąc ulgę cierpiącym i pracując jako lekarz w szpitalu.

Dr. Krzysztoń jest wychowankiem gimnazyum św. Jacka w Krakowie i Wszechnicy Jagiellońskiej. Przy ogromie energii jest człowiekiem rzadkiej skromności, a chociaż prawie nigdy na szerszej arenie publicznej nie występował, swą pracą i działalnością służył zawsze społeczeństwu.

Illustracya nasza przedstawia moment uroczystości, gdy komendant szpitala, dr. Unger, dekoruje dra Krzysztonia.



Odznaczenie lekarza: Komendant trzeciego szpitala fortecznego w Krakowie, dr. Unger, dekoruje dra Kazimierza Krzysztonia.

STANISŁAW SŁAWIECKI.

Z CYKLU: „NA STRUNACH DUSZY“.

SMUTEK

Mówili ludzie, że oszalał.

Siwy włos, w lśniących kędziorach opadający na starcze ramiona, wiatr rozwiewał, targał nim... Oczy poczciwe, dobre oczy, starością lat spłowiałe, patrzyły uparcie w dal, jakby za widnokręgu kresem młodości szczęsną wypatrując złudę...

Pochyliła się zbolała głowa na piersi, zeschłe usta niezrozumiałe szeptały wyrazy...

Milczał, lecz ze spojrzenia oczu, z warg sinych poruszenia, z każdego ruchu bezsilnego ciała znać było, że żyje, że myśli, że czuje.

Śmiali się zeń przez łzy.

Śmiali się, a serce dziwny przenikał żal, smutek niem targał bez granic.

— Biedny dziadunio! — mówili — zmysły postradał.

Dziadunio — zdało się — wszystkich tych rozmów, spojrzeń i znaków nie rozumiał, jak gdyby oślepł, ogłuchł, oniemiał. Nie jadł prawie, nie sypiał. Wśród nocy, gdy wszyscy dniem minionym umęczeni, w śnie pogrążeni śnili, zrywał się; z piersi dobywał się szloch, szloch dziwny, starczemi wstrząsający piersiami. Powietrza widocznie znękanym brakowało płucom... choroba go dobijała?

Nie...

Smutek go pochwycił w swe miękkie ramiona. Smutek, jak kochanka-hetera, jak sfinks.

Smutek, ciche dający chwile ukojenia, smutek straszną budzący tęsknotę, ból zdradliwy, zabójczy...

Smutek jego zbolałą głowę do swej piersi uczuciem drżącej przytulił, myśli w szczęśliwe dziecięcych wspomnień zapędził krainy, do rodzinnych powiódł stron...

...Ukazał mu cichą, w słońcu dobrem tonącą wieś, zieleń ogrodów i biel wiejskich chat.

Przyniósł mu w dalekie strony z rodzinnej wsi zapach wonnych łąk, szmer cicho szemrzących strumieni i naszą pieśń wśród pól.

W majowy wieczór... wiosny czar... radości leci pieśń... na wiejskim kościele dzwonki dzwonią... wszystko się śmieje...

Pryska czar. Znika złuda snu...

...Jakieś drewniane, obce ściany, zimne, wilgotne. Ponury wschodzi dzień, nie świeci radośnie słońce, nie śmieje się zieleń drzew.

Budzi się myśl... Wywieźli ich w nieznany kraj, między obcych rzucili ich ludzi, zdala od ojczystych stron. Stroskane matek oblicza, dzieci płacz, hiobowe wieści... Z drewnianych ścian baraku, z rozrzuconej na podłodze słomy, z bladych pasów światła, przez małe okienka się przedzierających... z tych ludzkich ciał bezładnie rozrzuconych w śnie, szedł smutek.

Każda twarz, każde ułożenie się bezwiedne ciał, rezygnacyę zdradzały, bezdenny smutek.

Czasem z dziecięcej piersi dobywało się tęskne westchnienie, chrapliwy, starczy, rozlegał się jęk.

Starzec obłąkanym niemal toczył wzrokiem po tej ludzkiej nędzy; z żalem i bólem krążyła myśl dokoła umęczonego człowieczeństwa i rwała się w jasne dni.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przyszedł na świat w przedymionej kurnej chacie. Stara skrzynia kołyską mu była, a płacz i jęk biedy piosenką piastunki. Nie znał on śmiechu ni dni radosnych, jeno smutek, ból i żal.

Te dziecięce dni na całe zapamiętał życie i uniósł z nich jako wspomnienie smutek i ból, co mu w głębi duszy drgał...

Ale przyszły dobre dni...

Pastuchem został, ledwie dobiegł chłopięcych lat, zaledwie z dziecka wyrósł. Słońce mu świeciło wtedy i bór szumiał cudną pieśń, łąki mu oczy cieszyły i strumień się śmiał... Tyle uciech, tyle szczęścia... ileż baśni przecudownych wschodzące przyniosło mu słońce, a łagodny, blady księżyc... czego on mu nie powiedział... tyle tajemnic, tyle tajemnic...

I poczciwe było życie, gdy śnieg białym płatem legł, gdy mróz, jakby na skinienie, wody w kryształ ściął.

Radośnie się śmiały chłopięce oczy i dusza się zaśmiewała, chociaż kęsa chleba bardzo często brakło.

Głodno było, chłodno było, ale jakoś dobrze; ojczystym mówiłeś językiem i wszyscy cię rozumieli.

A dziś?

Mówisz i mówisz, skarżysz się z płaczem, a oni się śmieją, ramiony ruszają, jak gdybyś z innego był świata. Ból szarpie ci serce, smutek je zalewa, a oni się dziwią, żeś smutny.

A kiedy zapłaczesz i zamrą ci usta ze żalu, pomyślą po prostu — oszalał staruszek.

I niczem jest dla nich, żeś z ojczystych wygnan zagonów, że ci tęsknota i smutek znękaną przepełnia duszę.

Mało im jeszcze, ty śmiać się winieneś, gdy głodem przymierasz, gdy serce ci drży z rozpaczy, tyś cieszyć się winien, że możność ci dano ofiarę złożyć z siebie.

I patrzą zdziwieni, że ty masz pragnienia, że tęsknisz za czemś, co jest nieziszczalne... o polski chłopie!

Niedosyć jeszcze przelałeś krwi, niedosyć zniosłeś bólu...

— — — — — — — — — — — — — — — —

O dobre, dobre dni na ojczystym łanie — szeptała mu uparcie myśl, a zbladłe oczy łzami zabłysły smutku i tęsknoty.

Wrócić, wrócić — szeptała dusza — choć raz przed śmiercią na ojcowską spojrzeć chatę, na ojczysty łan. Jeszcze raz w życiu starych lip posłyszeć rozmowę i w szarej godzinie żab rechotanie. W modlącą się, wieczorną wsłuchany ciszę, usiąść u progu domostwa...

Co za sny, co za sny...

A wszystko to rzeczywistością było.

I kir prawdziwego smutku kładł się na duszę, otulał serce.

Czy to już wszystko przeszłością tylko? Czy się nie wrócą dobre dnie?...

Zbuntowało się serce żalem przepełnione, porwała się uśpiona tęsknota.

Ze świtaniem, w szarudze wschodzącego dnia kij wziąwszy w trzęsącą się rękę, poszedł. Dziwili się wszyscy, gdzie podział się dziadek; szukano go, lecz wszystko daremnie.

— Zdziwaczał staruszek! Biedak, dziadunio zmysły postradał — mówili.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W mroku jeszcze spoczywał świt. Wilgotna mgła przepełniała powietrze, tłumiła każdy odgłos życia. Milczało wszystko; milczał uparcie las, jak gdyby zamarł, zamknął się w sobie, milczały stratowane ugory.

Milczały wyludnione wsie... zamarło życie.

Śmierć tędy przeszła. Nie ta cicha w białej szacie, z kosą w ręku w noc pukająca do chat, lecz ta krzykliwa, straszna, bezwzględna, w stal odziana.

Przeszła tędy śmierć, milionami najeżona bagnetów, tysiącami dysząca paszcz, wiecznie otwartych, wiecznie na ofiarę czyhających, wiecznie głodnych.

Ukryło się życie, resztkami dygocące sił, przerażone, oniemiałe; pod ziemią szukało schronienia, wytchnienia, spokoju.

Jak duch, jak cień wlókł się staruszek. Nie widział przed sobą drogi, nie szukał znajomych mu miejsc; szedł przed siebie. Wiedział, że dojdzie tam, gdzie go wołało serce, do czego rwała się dusza, do ojczystej wsi. I jeszcze ujrzy raz ten słomą kryty dom, w ojcowskie zajrzy kąty, zaśmieje się dusza, serce zanuci radosną pieśń... dziecięce ożyją wspomnienia. A potem...

I szedł. Szedł, ostatki dobywając sił. Co krok niemal potykał się, upadał, lecz dźwigał się i wlókł swe stare kości na ojczysty łan. Jeszcze mila, jeszcze pół.

Teraz las, za lasem wieś.

U skraju lasu upadł. Zimny pot kroplami wystąpił na zmarszczkami pokryte czoło, bezsilność opanowała członki; jakby sen, jęło go mroczyć, powieki niby ołowiane opadały na oczy. Plecami oparł się o drzewo, głowa bezsilnie opadła na piersi. Bronił się staruszek przed chwilą słabości, siłą woli przywołując świadomość.

— Boże, Boże — szeptały wargi — daj mi tę radość, by na ojczystej spocząć ziemi, wśród naszych pól.

Chyliła się coraz niżej głowa, zastygała twarz, przymykały się powieki.

Zaszumiał nieśmiało las i kołysał go do snu... I śniło mu się, że jakieś nowe rozpoczął życie, takie dobre, ciche i radosne. Śnił mu się cudny, pachnący las... to znowu ogród pełen barwnych kwiatów rozścielił się przed nim... ścieżka świeżym piaskiem wysypana wśród drzew cienistych wiodła... słońce tak świeciło radośnie.

Chwila, a potem chmury ołowiane zasłały widnokrąg, coraz większe i czarniejsze; wzdłuż stratowanych, bólem jęczących, jęły sunąć pól.

Mogiła obok mogiły jęła wyrastać, same krzyże, same krzyże... taki smutek, taki żal szedł z tych mogił i z tych pól, taki jęk i krzyk rozpaczy.

Ostry, przenikający do głębi ból. Z starczych piersi dobyło się westchnienie, twarz blada, siną się niemal stała. Wyciągnął przed się ręce, jakby ginącą, złudną marę chciał pochwycić. Otworzył oczy. Dniało.

Skupił w sobie wszystkie siły, jedną ręką wsparł się o drzewo, drugą na swym kiju i uniósł się z ziemi. Ruszył w las. Tam za lasem... byle tylko sił starczyło, byle tylko dojść.

Nagle, gdzieś niedaleko zagrzmiało. Echo wśród lasu stokrotnie grzmot powtórzyło i nie zamilkło jeszcze, a już grzmiało raz drugi, trzeci, dziesiąty. Jak rozhukane fale oceanu o brzeg biją skaliste, tak biły powietrzne fale o sosnowe drzewa.

Zadrżał las, zachwiały się wierzchołki drzew i oniemiały; tylko echo jak stousta plotka wśród pni się przewijało i niosło dalej strach i smutek...

Przystanął na chwilę staruszek, wsłuchał się w to straszne wyzwanie i ruszył dalej.

Najwyższy czas, chwila, a przyjdę za późno... Tumult się zwiększał. Zdało się chwilami, że to siły natury zwarły się ze sobą, że tu walczą tytani o swe prawa, a raczej o swą przemoc.

Las rzedniał; wśród mgły i dymu nic nie można było dojrzeć. Huk nieustanny wybuchających pocisków, warkot karabinowych strzałów... jakaś piekielna symfonia...

Zaczął biedz; nerwy w nim ożyły, oczy błyszczały gorączkowo. Niespokojnie rzucał spojrzenia, w duszy coś mu drgać zaczęło, jakieś przeczucie...

— Tu, tu — szepcze mu myśl — tu, tu, gdzie biegniesz dalej szalony. Tu...

— Gdzie? — pytają szeroko rozwarte oczy.

— Jezus Marya! Gdzież jest to gniazdo moje, gdzie... Co znaczy ta ruina?

— Więc to jest wszystko? — Ból wstrząsał piersiami starca. Nie płakał, tylko oniemiałym wzrokiem patrzył na cmentarzysko życia...

Smutek wśród porozwalanych błąkał się ścian, wśród popalonych resztek.

Z sterczących, nagich ścian, ze skopanej, porytej kopytami ziemi, z śladów przelanej krwi i walających się w popiele poszarpanych ciał skarga się straszna dobywała, smutek wiał.

Więc to tu... słońce mu świeciło wtedy i bór szumiał cudną pieśń, łąki mu oczy cieszyły i strumień się śmiał.

Tyle uciech, tyle szczęścia... ileż baśni przecudownych wschodzące przyniosło mu słońce, a łagodny, blady księżyc...

Tuż u jego stóp jakieś ciało walało się w krwi zakrzepłej. Z bladej, młodej twarzy niewypowiedziany smutek szedł.

Jeszcze raz objął wzrokiem swe rodzinne sioło, w pola zielone chciał spojrzeć, w dal... Runął...

Przestało serce bić.

Nasz dział literacki.

Jeśli literatura jest odbiciem życia, to i obecny dramat dziejowy, który przeżywamy, musi znaleźć swój wyraz w literaturze. Nie czas naturalnie jeszcze na perspektywę tych wielkich dni, wielkich



Szlakiem Legionów: Grupa oficerów II. pułku. (X) Józef Lasoń, autor drukujących się w „Nowościach Illustrowanych" „Wspomnień Legionisty".

nadziei, wielkich cierpień, jakie wstrząsają całym narodem, ale i wrażenia chwili położyły już swą dłoń na twórczości.

Odbiciem współczesnych wydarzeń i uczuć są także utwory, które drukujemy obecnie w „Nowościach Illustrowanych". Barwne, pełne naturalności i życia „Wspomnienia Legionisty" Józefa Lasonia, pisane z żołnierską szczerością i swobodą, dają nam żywy obraz wojennego i obozowego życia Legionów.

W inną nutę, lecz również żywą odczuciem chwili



Polacy w węgierskich szpitalach: Dr. Laszlo Kerbolt, lekarz szpitala w Herczegfalva, opiekun i przyjaciel Polaków.

obecnej uderza autor cyklu „Na strunach duszy", p. Stanisław Sławiecki, którego nowelę p. t. „Smutek" zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Młody, lecz utalentowany autor „Księżniczki", której druk niedawno ukończyliśmy, w rozpoczętym cyklu nowel maluje i wciela w pełne liryzmu obrazy całą gamę uczuć, jakie szarpią dziś duszę ludzką w tej „osobliwej" chwili, a więc tęsknotę, ból i t. d. Nie wątpimy, że i cykl „Na strunach duszy" znajdzie serdeczny oddźwięk wśród naszych Czytelników.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobiznę p. Stanisława Sławieckiego, autora tak dobrze już znanego naszym Czytelnikom, jak również zwracamy uwagę, że na fotografii oficerów drugiego pułku Legionów znajduje się autor z takiem zajęciem czytanych „Wspomnień Legionisty", p. Józef Lasoń.



Na zajętym terenie: Powrót z urlopu na linię bojową.



Nasz dział literacki: Stanisław Sławiecki.

Polacy w węgierskich szpitalach.

Jak już niejednokrotnie wspominaliśmy, w szpitalach monarchii leczy się bardzo wielu Polaków chorych i rannych. Rozrzuceni są oni po całym jej obszarze, nie brak ich też i na Węgrzech, skąd bardzo często otrzymujemy listy, z których widoczna, że ofiary obecnej wojny światowej traktowane są po ludzku i czują się tutaj, jak u siebie w domu.

Ostatnio otrzymaliśmy od jednego z żołnierzy Polaków fotografię, przedstawiającą chorych w szpitalu rezerwowym grupa C. w Szekesfehervar (Stuhlweissenburg) na Węgrzech.

Leczyło się tutaj wielu Polaków, nie brakło obok nich Niemców, Czechów, Węgrów, Rumunów, Rusinów i południowych Słowian wyznania mahometańskiego z Bośni, śmiało też można powiedzieć, iż reprezentowane tutaj były wszystkie gatunki broni. Chorzy, którzy jako rekonwalescenci opuścili szpital, wyrażają się z uznaniem o stosunkach, jakie tam panowały.

Stąd, celem dalszej kuracyi przeniesiono ich do szpitala w Herczegfalva, zostającego pod kierownictwem dra Laszlo Kerbolta, dla którego nie mają po prostu słów uznania. Według własnych słów naszego korespondenta, który tam się leczył, jest to „człowiek, jakiego nie prędko spotkać można, szczególniej otacza on opieką Polaków, zna nasz los, nasze dzieje ojczyste, do wszystkich odnosi się z prawdziwie ojcowskiem sercem i stara się z nakładem własnej kieszeni o najdrobniejszą rzecz, n. p. o papierosy, kartki polowe, listy i t. p. Na nim jednym wraz z przezacną małżonką, która dzielnie mu pomaga, spoczywa cały ciężar pracy. Taką staranną opiekę i takie ojcowskie traktowanie rzadko spotkać, a choć wogóle cała służba sanitarna naszej armii najzupełniej dorosła do swego zadania, ten człowiek wybija się przecież nad innych i powinien za to zyskać uznanie i zasłużoną nagrodę.

„Z żalem opuszczamy Herczegfalva, gdzie odzyskaliśmy dawne siły i zdrowie, a spiesząc znowu na plac boju, nie zapomnimy o naszym dobrodzieju, który wraz z gronem miejscowej intelligencyi postarał się nawet i o to, byśmy mogli przyjemnie spędzić Święta Wielkanocne.

„Wogóle wszystko, co świadczy dobrego, czyni tak dyskretnie i z taką dobrocią, że po prostu wstępnym bojem musi zdobyć serce każdego"...



Polacy w węgierskich szpitalach: Grupa chorych w szpitalu rezerwowym w Szekesfehervar.

Kronika tygodniowa.

Nie potrzebuję chyba Szanownym Czytelnikom opowiadać, że wiosna jest już w całej pełui, wie to bowiem każdy, kto bodaj raz wybrał się na plantacye, skąd gawrony już całkowicie wyewakuowano, lub na Błonia, gdzie ruch jest wielki, rowerzyści jeżdżą sobie najspokojniej po ścieżkach, przeznaczonych dla spacerującej publiczności, sympatyczne kózki skubią sobie najspokojniej trawkę, a zakochane pary gruchają w parku Jordana, do Oleandrów mając wstęp wzbroniony.

Weseli się więc każdy, iż zielono się zrobiło, ja się jednak smucę, gdyż opowiadał mi jeden ze znajomych, że wiosna jeszcze nie jest całkiem pewna, a na dowód pokazał mi w swym ogródku krzak agrestu, który dotąd jeszcze się nie rozwinął, choć, wedle zgodnego oświadczenia ogrodników, pod tym względem trzyma prym pomiędzy wszelaką roślinnością,

Wytłumaczyłem mu, że prawdopodobnie w bieżącym roku agrest strejkuje, tak, jak uczyniły kury przed samemi świętami Wielkanocnemi, co spowodowało znów magistrat do ogłoszenia nowej taryfy maksymalnej, według której jajka poszły w górę.

Prócz mnie smucą się także saneczkarze, stracili bowiem nadzieję, by tak prędko można było używać przyjemności kręcenia sobie karków na Panieńskich Skałach. Urządzono też wobec tego stypę pogrzebową w jednym z krakowskich lokali, by „oblać“ zakończenie sezonu, który, jak słuchy mnie dochodzą, w tym roku nie może się poszczycić ani jednem małżeństwem, i to nawet wojennem.

Ponieważ wódeczność, w myśl rozporządzenia władz wyższych, wolno sprzedawać tylko do godziny siódmiej wieczorem, nic też dziwnego, że się ogromnie spieszono, a o lepsze szły obie płci, silniejsza i nadobna, która, zaznaczyć to muszę dla słuszności, pod tym względem ma już zupełną wprawę i smoli wódę, jakby to była woda zwykła, nic sobie z tego nie robiąc, że w ten sposób można łatwo stać się właścicielką lub właścicielem czerwonego nosa.

Gdym jednej ze znajomych "spirytystek" zwrócił uwagę na możliwość takiej polichromii sympatycznego zresztą oblicza, rzekła:

— U wa! Będę dalej pić, to nos będzie fiole towy, tak jak pański, a potem zielony!...

Wracam jednak do saneczkarzy.

Oblewano więc saneczki tak energicznie, iż jeden z uczestników biesiady zwrócił aż uwagę nadobnej swej sąsiadce słowy:

— Mamo! Ty widzisz, a nie grzmisz?

Mama jednak nie zagrzmiała, gdyż jej tam nie było. Był jeno jej konterfekt, a ten, jak wiadomo, gadać, a tem mniej grzmieć nie umie. Odezwanie nie speszyło wcale niewiasty, owszem, z tem większym rozmachem wychyliła następny puhar, dając w ten sposób piękny przykład równouprawnienia obu płci, zwłaszcza, że działo się to w dniu świętego Jerzego, patrona rycerstwa i niektórych pro fesorów filologii.

Do wiosennych objawów zaliczyć także należy otwieranie okien, wietrzenie mieszkań, trzepanie dywanów, co znów daje powód do wojen domowych. Sam byłem świadkiem tego rodzaju zapasów, które rozpoczęły się walką podjazdową na języki, nie wiem zaś na czem się skończyły, aczkolwiek bowiem proszono mnie, bym przyjął mandat do komisyi, mającej ułożyć preliminarya pokoju między obiemi wrogiemi stronami, wolałem dać sobie spokój, wychodząc z zasady, że nie warto pchać palca, a tembar dziej nosa między drzwi. Zastąpił mnie inny dyplomata, który lepiej się zna na tem i, dzięki jego zabiegom, pogodzili się powaśnieni.

Część Krakowian, czując wiosnę, radaby też wyjechać z miasta, ponieważ zaś jest między nami obecnie wiele osób, lubiących wszystko załatwiać, jak powiada Rusin: „chytro, mudro, newełykim kosztom“, nic też dziwnego, że znalazły się i takie, które pożyteczne radeby połączyć z przyjemnem, to jest ewakuacyę z wyjazdem za granicę.

Przed kilku dniami do jednej z komisyi magistrackich, nie wiem jednak dokładnie do której, spisującej ludzi, czy krupy, zgłosiły się dwie bardzo arystokratycznie wyglądające niewiasty, mówiące przez nos, z zapytaniem, czy na koszt miasta nie możnaby wyjechać do Szwajcaryi i bawić tam do jesieni, później zaś wybrać się na zimę w stronę Riwiery, wszystko im już jedno, jaką ona będzie, francuską, włoską, czy nawet austryacką.

Odprawiono je, rzecz prosta, z kwitkiem, odsyłając do Towarzystwa opieki nad wstydzącymi się pracować, które tego rodzaju osobnikom w miarę funduszów udziela zapomóg. Czy tam się im powiodło, nie wiem, w każdym razie życzę im szczęśliwej podróży.

Ja tam na coś podobnego pozwolić sobie nie mógłbym. Jeśli wybiorę się tramwajem na Podgórze, chwalę się potem przez kilka dni, iż właśnie wróciłem z „podróży na południe“, a że umiem blagować, a ludzie wiedzą, iż jestem wzorem prawdomówności, wierzy mi każdy i aż gębę rozdziawia, słuchając mych opowiadań i wrażeń.

Jedno jednakowoż mam wiośnie do zarzucenia. Według zgodnego zdania przyrodników budzi się wówczas cała przyroda do nowego życia, to przecież najgorsze, że wówczas budzą się i rozmaite talenty poetyckie, które dotąd drzemały spokojnie, niczem owe fijołki w trawie, drażniące tak mile na sze powonienie.

Ot, nie dawniej, jak przed trzema dniami, zgłosił się do mnie pewien bardzo młody jegomość, który przyniósł ze sobą całą torbę swych utworów, prosząc o wskazówki, w jakim kierunku ma dalej pracować.

Gdy się już porządnie wygadał, pokazując cały stos bibuły, powiada:

— Oto próbki!

— Zapewne bez wartości! — wyrwało mi się, przeglądałem bowiem przed chwilą przepisy pocz towe, dlaczego zaś, o tem wspomnę później.

— Bardzo proszę! — odparł urażony — Czytałem je mojej cioci, a ona orzekła, że czegoś podobnego nie posiada dotąd nasza literatura. Wobec tego chciałbym zasięgnąć jeszcze pańskiego zdania.

— To zaufanie z pańskiej strony ogromnie mi pochlebia — ja mu znów na to — muszę się jednak zastrzedz z góry, że na poezyi nie znam się zbyt mocno.

— Ale w każdym razie może mi pan wskazać na przykład jakiś podręcznik, którego miałbym się trzymać...

— O! To mogę zrobić!... Przedewszystkiem radzę panu kochanemu kupić sobie za dwadzieścia halerzy „Prawidła pisowni polskiej“, wydane przez Akademię Umiejętności. Są i inne tego rodzaju publikacye, tamte jednak są zbyt drogie... Ortografia, to pierwsza rzecz, której wymagamy od poety. Rymy i rytmy przyjdą już same z siebie, jej trzeba się uczyć!

— Ja, proszę pana, piszę tylko białym wierszem, bo to łatwiej...

— Oczywiście! Zechce mi pan zostawić swe utwory, gdy będę miał wolny czas, przegladnę je i dam odpowiedź! Proszę jednak nie kłaść koło pieca, gdyż służący mógłby się pomylić... Najlepiej ot tutaj, na tym koszu!

— Także się boję!

— Bez powodu! Kosz jest całkiem pełny!

— A kiedy mam się zgłosić po odpowiedź?

— W maju!...

Na tem skończyliśmy rozmowę. On poszedł w swoją stronę, a ja w swoją, to jest do biurka, na którem leżał list, adresowany do Redakcyi, pozbawiony jednak całej swej ozdoby, to jest wojennej marki. Pozostały tylko ślady miejsca, na którem ją przylepiono...

Byłem niepocieszony, gdyż marki zbieram dla jednego ze swych przyjaciół, który chce w ten sposób zebrać fundusz na zakupno bodaj chińskiego dziecka, nie mogąc w inny sposób dojść do potomstwa. Tymczasem krzywdzi jego i mnie, kto, nie wiem, ale się domyślam i, kto wie, czy kiedyś tego głośno nie powiem, gdy mi już zabraknie cierpliwości, oddzieranie marek powtarza się bowiem już od dłuższego czasu. Gdyby nadawca zapomniał list opłacić, poczta kazałaby nam zapłacić tak zwane *Strafporto* i zawsze tego (co się jej, nawiasem mówiąc, bardzo chwali) pilnie przestrzega, jeśli więc doręcza nam korespondencyę bez marki, nawet ze śladami, iż była, ale jej już niema, gdzie szukać winowajcy? Kto łaskawy, niechaj sobie dośpiewa sam w duszy, ja mu tylko tyle powiem, że znałem sam pewną panienkę, zatrudnioną na poczcie, która także zbierała marki... A może jej nie wolno?...

Ponieważ maj się zbliża, radziłbym więc temu lub tej, która mi na złość robi, niechaj sobie da spokój. Czyliż nie jest przyjemniejszem, zamiast zbierać marki, grać n. p. z narzeczonym w zielone o całusa? Ja sam jestem gotów do tego, bo teraz wiosna i wigor wstępuje nawet w stare kości! Wiór do wióra czuje miłosne zapędy, jak mawiał ś. p. Zagłoba, cóż dopiero człowiek, który z natury rzeczy jest daleko od nich kochliwszy?

Ponieważ widzę, że wiosna działa i na mnie, bojąc się tego, bo to już w tym wieku nie wypada, przechodzę więc do innej beczki, do której też i Szanownych Czytelników uprzejmie zapraszam.

Na samem jej dnie widzę babkę, ale nie tą, żyjącą obecnie w poezyi ludowej, a ongiś, przed laty, zmarłą podobno w Skawinie, ale prawdziwą babkę, gdzieś z pod Cieszyna, która wnukom swym przepowiedziała, że Polska będzie wolną i będzie miała znów swego króla w tym roku, gdy Wielkanoc przypadnie na dzień św. Wojciecha.

Według zaś kalendarza stanie się to w roku 1916, o ile naturalnie tymczasem nie zmienią dotychczasowego porządku, lub nie zniosą wogóle świąt.

Autor niniejszego opowiadania, pomieszczonego w śląskim „Pośle Ewangielickim“, a powtórzonego w katolickiej „Prawdzie“, kończy: „Poczekajmy jeszcze rok, a będziemy mogli sprawdzić, czy przepowiednia się spełni, albo nie“.

Trudna rada, nie mamy nic lepszego do roboty, czekajmy więc, a kto wie, czy się nie doczekamy! Wówczas będzie można ogłosić całemu światu, że babka z pod Cieszyna zakasowała zupełnie panią de Thébes, której proroctwa spełniają się o tyle, o ile ogłoszono je po fakcie dokonanym.

Do garści przepowiedni, ogłoszonych już poprzednio w sprawie pokoju, przybywa więc znowu jedna, raczą ją sobie Szanowni Czytelnicy łaskawie zapamiętać, a jeśli się nie ziści, mieć pretensyę do owej ś. p. babki, a nie do mnie, który tylko *relata refero*.

Równocześnie z tą sprawą zwrócono mi także uwagę, iż powinienbym koniecznie wspomnieć o tak popularnej osobistości, jaką jest Aron Gajer, który, wyewakuowawszy się z Krakowa wbrew swej woli, zmarł nagle w Chrzanowie.

W życiu politycznem nie zetknąłem się z nim nigdy, ani ja jego, ani on nie był nigdy mym kontrkandydatem, nie głosowałem też na niego, gdyż wówczas głosu nie miałem, pozostawałem natomiast z nieboszczykiem w bardzo ożywionych stosunkach handlowych i, choćbym chciał, nie mogę o nim powiedzieć nic złego, zwłaszcza, że... *de mortuis nihil nisi bene*. Sądzę, że znajdzie się ktoś, kto poświęci zmarłemu specyalny nekrolog i oceni należycie jego działalność polityczną i ekonomiczną, moje pióro jest do tego za słabe.

Z czystem sumieniem możemy przecież powiedzieć, że znał go cały Kraków i niejednemu z nas, gdy przechodzi ulicą Szpitalną, brak go, niczem zastąpić się nie dający.

A gdyby nie wojna, kto wie, czy nie byłby żył i handlował do dnia dzisiejszego!

Na zakończenie zostawiłem uczony traktat o chlebie wojennym i gorący apel do pana fizyka, by nas wziął w opiekę swą przemożną, gdyż piekarze sprzysięgli się na nasze zdrowie i chcą nam gwałtownie żołądki i kiszki poklajstrować.

Jadłem już nieraz ciemny chleb, ciemniejszy nawet niż obecne przepisy rozkazują, był on przecież należycie wypieczony, gdy tymczasem sprzedawany obecnie jest tylko z wierzchu wysuszony, wewnątrz zaś tworzy jeden miły zakalec.

Kto się bez chleba obejść nie może, cierpi wobec tego na różne przypadłości żołądkowe, *caveat* więc *dominus physicus*, bo może być źle! Żołądek i kiszki nasze wołają o pomoc i opiekę i, sądzę, nie zawiodą się na tem.

Radziłbym wobec piekarzy zastosować środek, może zbyt drakoński, ale przecież pewny. Który z nich przyłapany zostanie na sprzedaży niewypieczonego chleba, *vulgo* zakalca, niechaj zmuszony będzie na miejscu zjeść cały bochenek, a z pewnością odniechce mu się na przyszłość igrania z naszem zdrowiem!

Także z urzędu powinno być zakazanem ogłaszanie przepisów na magistracki gulasz, mamałygę i t. p. specyały, które mogą być dobre w okresie przedwyborczym, ale nie teraz, kiedy każdy powinien dbać o swoje zdrowie.

Połowica moja spróbowała według onej recepty przygotować rożne smakołyki i, co Państwo powiecie, gulasz smakował akurat tak, jak mamałyga, a ona znów odwrotnie, jak gulasz. Na drugi dzień po spożyciu wypiliśmy na spółkę sześć flaszek gorzkiej wody i to nam dopiero ulżyło!

Ale na podobne zbytki w tych ciężkich czasach zbyt często pozwalać sobie nie można...

Do owych dziesięciorga przykazań sanitarnych, o których w poprzedniej kronice wspominałem, do dałbym wobec tego jeszcze jedno, które miałoby być wielkiemi literami wypisane w każdym sklepie i każdej jadłodajni:

„Szanuj zdrowie należycie,
Bo, jak umrzesz, stracisz życie!“

Przyznam się zaś, że aczkolwiek sam tego na sobie nie doświadczyłem, przypuszczam przecież, że chyba nie musi być przyjemnem, gdy się człowiek pewnego dnia obudzi... nieboszczykiem i to zmarłym z powodu niestrawności!...

Zagadki do nagrody.

Przekładanka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Litery tak poprzestawiać, aby w każdym szeregu powstał wyraz o pewnem znaczeniu. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół utworzą nazwisko jednego z dowódców polskich Legionów.

a	a	a	e	k	k	m	r	z
a	a	e	i	i	l	r	t	z
a	c	e	i	k	k	l	n	y
a	i	i	l	n	n	o	w	w
a	d	e	g	i	n	n	t	y
c	i	n	o	s	u	w	y	z
a	c	e	j	s	u	z	z	ż
c	f	i	k	k	r	s	u	y
a	c	e	i	n	r	t	y	z

Równanie.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, a w drugiem i trzeciem tytuły dwu jego utworów

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{3} + \frac{c}{2} = x$$

$$\frac{d}{2} + \frac{e}{3} + \frac{f}{3} + \frac{g}{2} = y$$

$$\frac{h}{3} + \frac{i}{3} + \frac{j}{3} + \frac{k}{3} = z.$$

Znaczenie wyrazów: a) Litewska potrawa. b) Godność kościelna. c) Nakrycia głowy. d) Wielkie naczynia. e) Rzeka w Małej Azyi f) Zakon żeński. g) Waga h) Inaczej celibat i) Hetman kozacki. j) Jagody. k) Termin muzyczny lub kucharski.

Szarada.

Ułożył W. M

Pierwsza zasłania nężnie
Ojczyznę w niedoli,
Druga skrywa Twe czoło,
Gdy Cię serce boli
Całość najczęściej prawie
To słodkie ogniwa,
Marzeniem młodych dziewcząt
I młodzieńców bywa.

Łamigłówka.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Uzupełnić podane wyrazy Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą w pierwszym rzędzie nazwisko polskiego, a w trzecim niemieckiego kronikarza.

– a –
– s –
– o
- a –
– d –
– e –

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich inne polskie przysłowie:

1) Drogi Kraków i za grosz.
2) Przykrości folga cierpliwość.
3) Nie odrazu Kraków zbudowano.
4) Plecie, jak Piekarski na mękach.
5) On ma rudą babę z piekła rodem.
6) Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.
7) Kto chce wydawać, musi mieć dochody.
8) Dobre są baby, ale nie stare
9) Dzieło mistrza chwali
10) Kto nie ma chęci, wie, jak wykręci
11) Ujmij ciału obroku, a duch będzie syty.
12) Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło
13) Kiedyś piwa nawarzył, to je teraz wypij.
14) Brudu, aż skrobać.
15) Nie urodzi sowa sokoła.
16) Kto miecz trzyma, pokój miewa.
17) Dobra żona, męża korona

Okienko.

Ułożyła Stefa z Zr.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a	a	a	a	a	a	a
a			b			b
d			d			h
k	k	l	l	n	n	o
o			r			r
r			r			u
u	y	y	z	z	z	z

Znaczenie wyrazów: 1) Herb polski. 2) Miasto w Albanii. 3) Fizyczny termin techniczny.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nu! Ks Radziwiłł ujedzie koniem Jany pod bór.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osob

ADAM RONG.

IZAK KONN

JAN A. TUDT.

KARO A. BAT.

A. TYZ. WERNER.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Kazeta:* **Z urzędniczego światka.** Nowele i humoreski.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 16.

Kwadrat magiczny:

R	a	t	a
A	m	o	r
T	o	g	a
A	r	a	k

Logogryf:

L	i	t	r
E	z	a	w
N	i	d	a
A	n	n	a
R	o	t	a
T	y	k	a
O	s	e	t
W	i	s	t
I	w	a	n
C	i	s	a
Z	i	ę	ć

Grzebieniówka:

J K o r z e n i o w s k i

ę	r	n	i	p	u	m
d	k	i	m	i	r	p
z	a	c	f	u	m	e
a	n	z	y	m	a	t

Równanie:

Kwartet + **makolągwa** + **rajer** = **Tetmajer.**
Zanokcica + **trapez** + **cedry** + nietoperz = **Zatracenie.**

Krzyż magiczny:

		D	C		
		o	h		
D	o	l	i	n	a
C	h	i	a	r	i
		n	r		
		a	i		

Przysłowiówka: Nie pomogą i antenaty, kiedy kto nie bogaty.

Bilety wizytowe: Rotmistrz Sierżant. Arendarz Legionista Prowizor aptekarski. Archimandryta.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze. H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka. M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Krakow, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, S. Sygnarska Praga, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow. W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, S. Rogalski Cieszyn, J Wilkosz Praga, I. Brzostowski Chrzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Galiński, Nowy Sącz.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Odezwa krakowskich Sodalicyi Maryańskich. Kiedy Ojczyzna wzywa synów swoich do walki w obronie swych praw i wolności, mówi ojcom rodzin, powołanym pod broń „bądźcie spokojni, dzieci wasze należą do mnie“ Tak i Ojczyzna nasza — Polska — za której życie i wolność poszli w bój śmiertelny liczni jej synowie, ojcowie rodzin, mówi im przez tych, co przez ich krew i bohaterską śmierć na polu chwały poniesioną ocaleli „bądźcie spokojni, dzieci wasze należą do nas“.

Tak, to jest obowiązkiem państwa i społeczeństwa zająć się wychowaniem sierót, w myśl życzenia ich ojców, co legli w boju, aby te sieroty nie tylko nie zmarniały, ale wyszły na dobre dzieci Kościoła i dzielnych synów Ojczyzny

Setki instytucyi staną dziś do tej zbożnej roboty miłosierdzia Chrystusowego i powinności społecznej, ale pracy nie zbraknie. Bezkres jej. To też S o d a l i c y e M a r y a ń s k i e k r a k o w s k i e wytwarzające organizacye religijno-socyalne we wszystkich stanach naszego życia, podały sobie ręce do podjęcia się tej pracy i w Imię Boże i w imię Tej, która jest Królową naszą — Maryi Powołać one pragną zaraz pod swą opiekę taki „Zakład wychowawczy“ dla sierot po żołnierzach Polakach i Legionistach.

Idziemy śmiało w tę pracę uzbrojeni słowem zachęty naszego Najprzewielebniejszego Arcypasterza, księcia biskupa Adama Sapiehy, J. E ks. arcybiskupa Symona, J. E. ks. biskupa Pelczara, księdza biskupa Nowaka, więc też ufamy, że społeczeństwo nasze, w swej szlachetnej ofiarności, całą duszą nas popierać będzie.

Zakład ten ma przedewszystkiem brać na wychowanie te sieroty, tak dziewczęta jak i chłopców, które są pozbawione wszelkiej pieczy.

Pod bezpośrednią opieką sił wychowawczych w duchu katolickim i narodowym sieroty te będą przysposobione do życia fachowego, by po ukończeniu lat w zakładzie, staraniem tegoż zakładu mogły przejść do innych instytucyi, któreby im dały możność życia i pracy pożytecznej, a tak, aby wyrosły na dobrych ludzi o zasadach katolickich i na dzielnych synów Ojczyzny. Ramy tej instytucyi wychowawczej, według funduszów, początkowe szczupłe, przy pomocy społeczeństwa jak tuszymy chlubnie rozszerzać się będą. Zakładowi opiekę da „Sekcya Krakowskich Sodalicyi Maryańskich“, a wykonywać ją będą bezpośrednio z ramienia sekcyi i pod jej okiem siły fachowe. Sieroty przyjmowane będą od 6-go roku życia.

Ofiary na utrzymanie zakładu i wyniki pracy ogłaszane będą w dziennikach. Ufni w pomoc „Królowej Korony Polskiej“ udajemy się do P. T. całego społeczeństwa polskiego, o łaskawą rychłą pomoc. Bóg dobry wróci nam wszystko stokrotnie.

Ofiary prosimy przesyłać na ręce „Sekcyi Biura Sodalicyi Krakowskich“ plac Szczepański 7 I piętro między 11–12 przed południem, a 4–5 po południu. Nadto życzliwi nam panowie kupcy w sklepach swoich będą mieli w tym celu wstawione puszki, jak również Szanowne Administracye dzienników krakowskich będą przyjmowały datki na ten cel.

Z półek księgarskich.

„Kalendarz Legionów polskich“. Swieżo opuściło obecnie prasy drukarskie piękne wydawnictwo, poświęcone przez „Wiedeński Kuryer Polski“ naszym Legionistom. „Kalendarz“ wspomniany, będący właściwie osobną księgą pamiątkową, złożoną w dani walczącym bojownikom polskim podaje treść interesującą i ciekawą, na którą złożyły się artykuły prof. dra Władysława Leopolda Jaworskiego, Wł. Studnickiego, Alfreda Zgórskiego, dra Grzybowskiego, prof. dra Wicherkiewicza, Juliusza Kadena, dra B Merwina, Artura Schrödera, Henryka Zbierzchowskiego, Lubicza, J. Frylinga i wielu innych. Obok tej treści literackiej znajdzie się tu obfity dział ilustracyjny, reprodukujący dzieła wyszłe z pracowni takich artystów jak: Antoni Kamiński, Wojciech Kossak, jakoteż widoki okolic, mających dla nas urok wspomnień niedawnych. Kalendarz przedstawia się w całości bardzo dodatnio i po rozejrzeniu się w treści jego bynajmniej nie słabnie wrażenie, jakiego doznało się na pierwszy rzut oka, kiedy obaczyło się piękną okładkę trójkolorową rysunku utalentowanego malarza Gottlieba. Wydawnictwo pod względem typograficznym jest bardzo piękne, co jednakowoż nie wpłynęło bynajmniej na cenę, która jest bardzo nizka. Egzemplarz broszurowany bowiem kosztuje 1 kor. (z przesyłką 1 kor. 25 hal.), oprawny w płótno 2 kor (na przesyłkę należy dołączyć 25 hal). Nabywać można najlepiej wprost w centrali wydawnictwa: Wien IX, Canisiusgasse 8–10, III. St, lub też w filii Administracyi: Wien I Liliengasse 1, względnie w wiedeńskim komisaryacie N K. N (Neuer Markt 3, II. St.). Zamówienia przyjmują wszystkie większe księgarnie.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego